№ 8. Warszawa, dnia 8 (20) Lutego 1886 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica Widok Nr 3.

KORESPONDENCYA Z PARYŻA,

PRZEZ

Sewerynę Duchińską.

Obraz pana Andryollego. — Ustęp z poematu Pan Tadeusz.—Konferencya p. Savoignan de Brazza o Afryce środkowej.—Koncert w magazynie *Bon Marché*.— Urządzenie tegoż magazynu.

Zaczynamy korespondencyą naszą, pod miłem nadzwyczaj wrażeniem. Parę dni temu, w pracowni pana Andryollego oglądaliśmy obraz tylko co wykończony. Przedmiot do niego wzięty z ostatniej pieśni Pana Tadeusza: Jankiel grający na cymbałach.

Jeżli Mickiewicz zatytułował ten ustęp: *koncert nad koncertami*, my nazwiemy utwór wielkiego rysownika: *obrazem nad obrazami* Andryollego. Artysta, który od dawna nauczył się mierzyć sam siebie własną piędzią, tak w rzeczy samej określa swoje ostatnie dzieło. Tak też ocenili wspaniały utwór i ziomkowie i cudzoziemcy, którzy go oglądali. Głos powszechny uznał, że sztuka polska objawiła się tu w sposób najświetniejszy. Pojmujemy radość artysty, widzi bowiem urzeczywistnione długoletnie sny i pragnienia swoje.

Pan Andryolli w nadzwyczaj krótkim czasie wykonał to arcydzieło dla hrabiego Benedykta Tyszkiewicza, alež w ciągu lat kilkunastu, badał pilnie swój przedmiot i z niezmordowaną pracą zbierał do niego materyały. Sam rozmiar tego obrazu, jest już osobliwością, szeroki na półtora metra, ma jeden metr i ćwierć wysokości. Utworu takich rozmiarów, sztuka rysownicza dotąd nie posiadała.

Trudno zaprawdę oderwać wzrok od tego arcydzieła. Im więcej wpatrujemy się, czy-to w harmonijną całość, czy w charakterystyczne szczegóły, z tem żywszą czujemy radością, że genialny nasz poeta znalazł tak genialnego tłomacza, w znakomitym rysowniku naszym.

Rzecz dzieje się w obszernym dziedzińcu zamkowym, po uczcie w wielkiej sali, kiedy zebrani goście:

> ...skończyli jeść lody,
> I z zamku na dziedziniec wyszli dla ochłody.

W głębi widać stary, napół zrujnowany zamek Horeszków, z gankiem opartym na kolumnach. Przed zamkiem wysadzone rzędem stóletnie lipy. Po lewej ręce w oddali, zachodzące słońce oblewa pełnym blaskiem skromny dwór sędziego Soplicy.

W pośrodku na pierwszym planie, widzimy siedzącego Jankla, z białą brodą, w długim hałacie, na kolanach trzyma cymbałki. Po obu stronach starca:

> Dwaj uczniowie przy cymbałkach klęczą,
> Jankiel z przymrużonemi napoły oczyma,
> Milczy i nieruchomie drążki w palcach trzyma.

Liczne grono znanych z poematu osób, otoczyło cymbalistę. Lud, który ucztował przed chwilą w dziedzińcu, usunął się w głąb, pacholęta wiejskie wdrapały się na drzewa, służba zapełniła ganek zamkowy.

W głębi sceny, po za Janklem, stoi poważny podkomorzy, w kontuszu i litym pasie, oburącz wsparty na karabeli, w białej czapce ozdobionej pękiem piórek czaplich. Przy podkomorzym Telimena, ubrana według mody księstwa warszawskiego, z rozpostartym wachlarzem, który przysłania zbyteczny wykrój sukni.

Po lewej ręce stoją szeregiem jenerałowie. Dąbrowski w stósowanym kapeluszu, z założonemi rękami, głękoko zamyślony; dalej: Pac, Małachowski i „Kniaziewicz wzrostem najsłuszniejszy". Nieco opodal Hrabia w czapce ułańskiej, wsparty romantycznie o lipę, z sarkastycznym uśmiechem na ustach, bliżej woźny Gerwazy, z głową do góry podniesioną i Protazy z pękiem kluczy u pasa, smutny i z czołem pochylonem i przysłoniętemi ręką oczyma.

Po prawej stronie podkomorzego, ciągnie się grono znanych osób, każdą z nich odgadnąć łatwo ze stroju i postawy. Naprzód podkomorzanki a obok nich matka, poważna matrona, w wysokim kornecie i szerokiej kryzie na szyi. Przy niej sędzia w kontuszu, a dalej dziwnie dorodna para: młody, dziarski ułan i śliczna dzieweczka, w spódniczce i wiejskim gorseciku, w wianku rozmarynowym. I któżby nie poznał w nich, Tadeusza i Zosi?

Obok tej promieniejącej pary, uderzają w oczy dwie postacie. Te nie tak łatwe do poznania, inaczej bowiem przedstawiały się w ciągu powieści, gdy toczyły długi spór o Kusego i Sokoła. To Asesor i Rejent. Pierwszy:

Już włożył siny mundur z krasnemi wyłogi,
I ciągnie krzywą szablę i dzwoni w ostrogi.

W drugim dziwniejsza jeszcze przemiana. Sprawiły ją czary Telimeny. Na jej żądanie:

Już się Rejent rad nie rad po francuzku przebrał,
Widno że mu frak duszy połowę odebrał;
Stąpa jakby kij połknął, prosto, nieruchawo,
Jak żóraw, nie śmie spojrzéć ni w lewo, ni w prawo.

Z żalem naszym, nie widzimy tu typowej postaci Maćka nad Maćkami, ale wiadomo, że ten, nie zupełnie rad z owych „fizylierów, saperów, grenadyerów i kanonierów”, a co więcej zgorszony francuzkim strojem Regenta, wyrzuciwszy mu w oczy zwykły komplement „głupi!”

„Wymknął się i wsiadł na koń, wrócił do zaścianka”.

Widzimy za to sympatyczną postać Wojskiego Hreczechy. Artysta odtworzył ją z wyrazistych rysów pana Władysława Chodźkiewicza.

Rysy Dąbrowskiego, Kniaziewicza, Małachowskiego, wiernie oddane według współczesnych portretów. Do innych postaci, utworzonych fantazyą poety, artysta wynalazł żywe odpowiednie modele. Jedna z podkomorzanek, wiernym jest obrazem hrabiny Tyszkiewiczowej, zmarłej przed laty kilku.

W zebranym tłumie spotykamy jeszcze wiele typowych osobistości. Do najwydatniejszych należy Kokosińska, z domu Indykiewiczówna, w wielkim czepcu, typ zawołanej gospodyni wiejskiej.

Odznacza się również hrabia tatarski, z krzywą szablą, w czapce baraniej i czamarze wschodniego kroju. W pobliżu Jankela stoją kobeźnicy z kobzami i skrzypek z zakasanym rękawem, czekają rychło umilkną cymbałki i przyjdzie kolej na nich.

Nie wiemy sami co tu bardziej podziwiać, czy umiejętne ugrupowanie tylu figur, czy też nadzwyczajną w nich rozmaitość i charakter ich po mistrzowsku oddany. Nie licząc już tłumu złożonego z zaściankowej szlachty, z włościan, żołnierzy, trębaczy wojskowych i t. d., samych wydatniejszych postaci naliczyliśmy z górą sześćdziesiąt.

Dzień to wesoły, dzień powitania, dzień potrójnych zaręczyn i czemuż na obliczach taka powaga, czemu cień smutku zawisł nad każdem czołem? Dlaczego klucznik Protazy tak żałośnie pochylił głowę? Łatwo odgadnąć powód. Twórca obrazu wybrał chwilę kiedy muzyk:

Puścił fałszywy akord, jak syk węża,
Jak zgrzyt żelaza po szkle, przejął wszystkich dreszczem,
I wesołość pomieszał przeczuciem złowieszczem.
Zasmuceni, strwożeni, słuchacze zwątpili,
Czy instrument niestrojny, czy się muzyk myli?
Nie zmylił się mistrz taki! on umyślnie trąca
Wciąż tę zdradziecką strunę, co melodyą zmąca,
Coraz głośniej targając akord rozdąsany,
Przeciwko zgodzie tonów skonfederowany,
Aż klucznik pojął mistrza, zakrył ręką lica,
I krzyknął: znam, znam głos ten...
I wnet pękła ze świstem struna złowróżąca.

Obraz ten śmiało nazwijmy arcydziełem. Nazwali go tak sami krytycy francuzcy, nie skorzy do pochylenia głowy przed obcym mistrzem, a co więcej nieświadomi przedmiotu. Wyborny przekład pana Gasztowtta, lubo ogłoszony w ustępach, nie dość jeszcze znany publiczności francuzkiej, a gdyby nawet był znany, czyżby go ocenić umieli? Słowa Szyllera nasuwają się tu mimowoli:

Wer den Dichter will verstehen,
Must in Dichter Lande gehen.

Ten krótki rzut oka, zakończmy życzeniem: jakżebyśmy pragnęli, obok tego obrazu zobaczyć drugi jeszcze, z tychże samych złożony osób, już nie zasłuchanych w brzęk potarganej struny, ale przy wesołej gędźbie skrzypków, kobeźników i cymbalisty, kończących radośnie dzień godowy, jak go zakończył poeta:

I szły pary po parach, Lucznie i wesoło,
Rozkręcało się, znowu skręcało się koło,
Jak wąż olbrzymi w tysiąc łamiący się zwojów;
Mieni się centkowata, różna barwa strojów,
Damskich, pańskich, żołnierskich, jak łuska błyszcząca,
Wyzłocona promieńmi zachodniego słońca,
I odbita o ciemne murawy wezgłowia:
Wre taniec, brzmi muzyka, oklaski i zdrowia!

Nimto nastąpi, inne jeszcze wyraźmy tu pragnienie. Hrabia Tyszkiewicz zgodził się chętnie na reprodukcyą pięknego obrazu. Jakże-by życzyć należało, aby które z Towarzystw Zachęty Sztuk Pięknych, warszawskie czy krakowskie, chciało nabyć od artysty to prawo reprodukcyi na doroczne premium dla swych członków!

(Dalszy ciąg nastąpi.)

DUMKA.

Ej, na stepie, na szerokim,
Trawa się kolebie...
Czemu łzawem wodzę okiem,
Naokoło siebie?

* * *

Czemu serce moje biedne,
Coraz żywiej tętni?
W głowie dumy zawsze jedne,
W duszy coraz smętniej?

* * *

I chciałabym gdzieś... daleko...
Het! ulecieć ptakiem,
I szybować ponad rzeką...
Ukrainnym szlakiem...

* * *

W sercu żałość i tęsknica,
Łezki z oczu płyną...
Czemu biada mołodyca,
Wieczorną godziną?

Litawor.

UMARŁA.

PRZEZ

Oktawiusza Feuillet.

PRZEKŁAD

Joanny Belejowskiej.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

(Dalszy ciąg.)

17 Października.

W jednym tylko ogrodzie pałacowym, mogę mieć nadzieję spotkania panny Aliety. Tam nie obawiają się puszczać jej samej, bo ogród ten jest istnem więzieniem. Chcąc się do niego dostać, trzeba przebyć dziedziniec i przejść około okien mieszkania. Ogród jest rozległy, z lewej i prawej strony opasany wysokim murem. W głębi znajduje się rodzaj staroświeckiego labiryntu z grabiny, którego powikłane ścieżki prowadzą do tarasu także grabiną obsadzonego. W środku tarasu wznosi się wielka altana w kształcie kopuły, jakie dotąd nazywają na prowincyi „salonami zieleni”. Wszystko oddziela od lasu wielki rów pełen wody, blizko trzy metry szeroki. Tędy tylko możnaby obiecywać sobie niespostrzeżonym dostać się do ogrodu, tędy też wejść tam postanowiłem.

Wczoraj rano zostawiłem psa w domu a dubeltówkę w lesie i przy pomocy drzew nadbrzeżnych przeskoczyłem rów, bo jestem zwinny i śmiały. Wiedziałem, że panna de Courtcheuse lubi przechodzić się po tarasie i siadywać w altanie, gdzie zajmuje się robótkami, czyta, lub zatapia się w marzeniu, gdyż jest-to osóbka dość romantyczna. Ja romantycznym nie jestem, jednak z przyjemnością patrzyłbym na jej śliczną główkę, kryjącą się w cieniu zieleni. Ale zawiodła mnie nadzieja, altana była pusta.

Nie poprzestałem na tem, przecież nie chciałem narażać się nadaremnie na pęknięcie kości pacierzowej. Z przezornością Mohikana, przesuwałem się z krzaku do krzaku, w pośród krętych uliczek i tak dostałem się do odkrytej części ogrodu.

Od pierwszego rzutu oka, z pośród ukrywających mnie zarośli, zobaczyłem pannę de Courtcheuse, w jej eleganckim porannym stroju; gdyby nie jasno-blond główka, trudno byłoby mi rozpoznać ją w tak dziwacznej postawie, w jakiej ją spostrzegłem. Klęczała przy zagonie w rogu alei, z głową pochyloną prawie do ziemi. Pierwszą myślą

moją było, że zasłabła nagle wśród przechadzki, upadając pod ciężarem prześladowanej miłości; nawet z pewnych poruszeń głowy, zdało mi się, że zanosi się od płaczu. Lecz dłuższe wpatrywanie przekonało mnie, że panna Alieta spożywa po prostu pierwsze swoje śniadanie. Uklęknąwszy przed krzakiem porzeczek, obrywała ostatnie, na wpół zwarzone jesienią gronka, przegryzając kawałkiem chleba.

Być może, iż tworzyło to piękny, rodzajowy obrazek, ale stanowił on tak gwałtowną sprzeczność z tem co sam czułem i co, jak mniemałem, ona odczuwa także, iż w pierwszej chwili zraziła mnie niewymownie.

Jakto, właśnie gdy wyobrażałem ją sobie miotaną namiętnością, spędzającą bezsenne noce, ona sobie spokojnie zajada porzeczki!.. Czyżby nie miała serca?

Bądź co bądź, tak wielka i rażąca różnica tego co widziałem z tem co spodziewałem się spotkać, była powodem, że zaniechałem korzystać z upragnionej, nastręczającej się sposobności... Ze ściśnionem sercem zawróciłem ku rowowi i przebyłem go znowu, nie tak jednak raźno jak pierwszym razem: jakiś szerszy mi się wydawał.

Nie ponowię już tego szalonego kroku. Raz, że nie lubię być śmiesznym, choćby w obec samego siebie, a powtóre, że nie umiem jakoś chodzić krętemi ścieżkami. Widocznie stworzony jestem do chodzenia prostą drogą i posługiwania się w walce uczciwą bronią i winszuję sobie tego.

Stanowisko moje jest narażone, ale nie stracone jeszcze; mam mój plan, sprobuję otwarcie usunąć przeszkodę.

18 Października.

Miałem zamiar pojechać dziś rano do Saint-Méen, o piętnaście mil ztąd. Jest-to stolica biskupia, miejsce zamieszkania J. E. biskupa de Courtcheuse, brata admirała a stryja Aliety. Mówiono mi, że jest to rozległy umysł, dobry kapłan, choć bardzo zagorzały. Zapewniają i rzecz to naturalna, że wywiera poważny wpływ na całą swoją poważną rodzinę. Niepodobna nawet przypuszczać, aby nie zawiadomiono go o mojem staraniu się o rękę jego synowicy i o wszystkiem co tylko może się odnosić do naszych stosunków. Według mego stryja, kocha on Alietę jak własną córkę. Pozyskanie go dla mojej sprawy, prawdopodobnie zapewniłoby mi wygraną.

Nie łatwe to przedsiewzięcie, ale wszak kto nie lęka się nadstawić karku, nieraz zdoła dokonać niepodobnych rzeczy.

Gdy już miałem wsiadać do powozu, aby dojechać do stacyi, stryj przybiegł i z przerażoną miną, nie opuszczającą go od czasu naszych niepowodzeń, powiedział mi, że J. E. biskup de Courtcheuse przyjechał do Varaville. Dodał, że musiał być zawezwany dla ważnych powodów, gdyż nigdy nie przyjeżdża w tej porze roku.

Po chwili namysłu, powiedziałem stryjowi, że ten przyjazd biskupa uważam za okoliczność przyjazną, którą ojcowie nasi nazwaliby opatrznościową, najpierw dlatego, że uwalnia mnie od podróży, a powtóre, iż jest-to widocznie korzystna dla nas oznaka.

Stryj zawołał niespokojnie:

— Zdaje mi się, iż rzecz ma się przeciwnie i że biskup zada ostatni cios naszym nadziejom!

— Odegnaj te ponure myśli, kochany stryju — odpowiedziałem. — Gdyby w obchodzącej nas sprawie, doskonała zgoda panowała w rodzinie, nie trudzonoby biskupa. Skoro w skutku różnicy zdań zapotrzebowano rozjemcy, dowodzi to, że partya nie jest dla mnie stanowczo przegrana, jak można się było tego obawiać... Czy mam wyznać ci co mi przychodzi na myśl?... Otóż pewny jestem, że to Alieta zawezwała biskupa.

— I jakiż wyprowadzasz z tego wniosek?

— Ten, że panna de Courtcheuse nie jest ani tak zrezygnowana, ani tak obojętna jak mi się zdawało dziś rano, gdym ją widział zajadającą porzeczki.

I opowiedziałem stryjowi wczorajszą moją przygodę.

Wszedłszy do swego pokoju napisałem list następujący:

„Ekscellencyo!

„Dowiaduję się o przybyciu Waszej Ekscellencyi, właśnie w chwili, gdy miałem jechać do Saint-Méen, prosić o łaskawe posłuchanie. Czy mogę mieć nadzieję, że W. Ekscellencya raczy udzielić mi je w Varaville? Zamierzając, na zawsze zapewnie, opuścić tę okolicę, wieczny żal pozostałby mi w sercu, gdybym przed oddaleniem się nie objawił W. Ekscellencyi uczuć jakiemi jestem przejęty.

„Racz W. Ekscellencya przyjąć zapewnienie najgłębszego uszanowania, z jakiem mam zaszczyt zostawać.

Bernard de Vandricourt."

W godzinę potem odebrałem bilet wizytowy:

BISKUP Z SAINT-MÉEN.

Przyjmie hrabiego de Vandricourt o godzinie czwartej.

O wpół do czwartej wchodziłem do Varaville głównemi drzwiami. Powiedziano mi, że zawiadomią biskupa, który jest w ogrodzie z panną Alietą.

Czekałem dość długo; nareszcie spostrzegłem wysuwającą się z labiryntu fioletową sutannę i okrągły kapelusz prałata. Alieta szła obok niego. Nie widzieli mnie z początku, gdyż rozmawiali zwykłym głosem i mogłem dosłyszeć niektóre słowa.

— Moja droga, jest-to rzecz nader drażliwa... nader przerażająca — mówił biskup żywo i porywczo.

— Ah! kochany stryju, nie mów tego... nie cofaj...

— Nic nie cofam, ale biedne moje dziecię, jesteś za nadto egzaltowana i romantyczna.

— Pokładam ufność...

— Zapewnie — przerwał — ale w razie zawodu byłabyś tak nieszczęśliwa... a i ja...

Nagłe przerwanie rozmowy, dało mi poznać, że mnie spostrzegli. Podszedłem ku nim kilka kroków, składając głęboki ukłon. Poznałem, że Alieta płakała, ale zdziwiło mnie mocno, że dostrzegłem także łzy w oczach i na twarzy biskupa. Niewątpliwie modlili się i płakali razem. Widząc ich wzruszenie i przypominając sobie wyrazy, które mimowolnie dosłyszałem, nie mogłem nie uczynić sobie kilku przykrych uwag, dotykających mojej skrupulatności, które odbiją się w mojej rozmowie z biskupem.

Idąc, zamieniliśmy kilka konwencyonalnych grzeczności. Gdyśmy dochodzili do pałacu, panna Alieta oddaliła się, żegnając nas lekkiem skinieniem głowy, a biskup wprowadził mnie do swego apartamentu, na dole w pałacu.

J. E. biskup de Courtcheuse, zdaje się nie mieć więcej nad lat pięćdziesiąt; jest wysoki i bardzo szczupły; oczy czarne, pełne życia, mocno podsiniałe. Mowa i ruchy jego są żywe, niekiedy porywcze. Często przybiera groźną minę, zamieniającą się niebawem w łagodny uśmiech. Ma piękne siwiejące włosy i piękne, prawdziwie biskupie ręce. Postawę ma imponującą, odpowiednią kapłańskiej jego godności; wyraz twarzy zdradza namiętną ale szczerą i uczciwą gorliwość religijną.

Jak tylko zajęliśmy miejsca, skinął ręką, abym zaczął mówić.

— Pojmuje W. Ekscellencya, że ostatnią pokładam w nim nadzieję... krok ten mój jest jakby aktem rozpaczy... Nie zastanawiając się głębiej, należałoby sądzić, że nikt z rodziny panny de Courtcheuse, nie mógłby osądzić surowiej i bezlitośniej zarzucanej mi winy. Jestem niewiernym a W. Ekscellencya apostołem... Ale wiadomo mi, że często właśnie u tak świątobliwych kapłanów, winowajcy największe znajdują pobłażanie... a ja nie jestem nawet winowajcą ale tylko zbłąkanym... Odmawiają mi ręki panny de Courtcheuse, ponieważ nie mam gorącej wiary jej i W. Ekscellencyi... Ale wszakże niewiara nie jest zbrodnią ale nieszczęściem... O! słyszę często mówiących: Taki tylko człowiek zaprzecza istności Boga, który postępowaniem swojem postawił się w tem położeniu, iż musi pragnąć, aby Boga nie było... I tym sposobem czynią go winnym i odpowiedzialnym za jego brak wiary... Co do mnie, badałem najszczerzej sumienie moje, lecz choć młodość moja była niedobrą, przecież przekonany jestem, że ateizm mój nie wypływa bynajmniej z jakiegoś osobistego interesu. Przeciwnie, mogę zapewnić Waszą Ekscellencyę, że nigdy w życiu mojem nie płakałem tak gorzko, jak w dniu w którym uczułem, że tracę wiarę, ufność i nadzieję w Bogu... Pomimo pozorów, nie jestem tak lekkomyślnym jak się to zdawać może... Nie należę do tych, którzy wydaliwszy Boga z serc swoich, nie uczuwają w nich próżni. Niech mi Wasza Ekscellencya wierzy, że można być światowcem, zwolennikiem sportu, klubu i światowych nawyknień, a obok tego mieć swoje godziny rozmyślania i skupienia ducha. I czyżby W. Ekscellencya mógł myśleć, że w podobnych godzinach nie czuje się strasznej czczości życia bez podstawy moralnej, bez zasad, bez celu po za grobem?... A jednak jakaż na to rada?... Gdyby Wasza Ekscellencya ze współczuciem i litością jaką czytam w jego oczach, powiedział mi w tej chwili: „powiedz mi jakie możesz mieć zarzuty przeciw religii, a sprobuję je obalić!" Nie wiedziałbym co odpowiedzieć... Zarzuty moje nazywają się legionem... są one tak liczne jak gwiazdy na niebie... wnikają w nas ze wszech stron, przybywają z czterech krańców horyzontu, jakby na skrzydłach wichru, a po ich przejściu pozostają w nas tylko ciemność i zgliszcza... Oto czego doznałem ja i tylu innych, a jest-to zarówno mimowolnem jak niepowetowanem!...

— A więc sądzisz pan — zawołał biskup, orzucając mnie gniewnem spojrzeniem, więc sądzisz pan, że ja, naprzykład, odgrywam komedyę w mojej katedrze?

— Ależ, Ekscellencyo!...

— Ze słów pana wnosićby należało, że żyjemy w takim czasie, iż każdy bezwarunkowo musi być ateuszem lub udanym świętoszkiem! Otóż, ja przynajmniej, mam przekonanie, że nie jestem ani jednym, ani drugim.

— Czyż pod tym względem potrzebuję się bronić?... czyż potrzebuję zapewniać, że nie przyszedłem w celu ubliżania Waszej Ekscellencyi?

— No! tak... zapewnie... A więc przypuszczam, choć z wielkiemi zastrzeżeniami i nie zapominaj pan o tem, gdyż zawsze jesteśmy mniej więcej odpowiedzialni za otoczenie w jakiem żyjemy, za prądy jakim unosić się dozwalamy, za zwykły kierunek jaki nadajemy swoim myślom... ale przypuszczam zresztą iż jesteś pan ofiarą niewiary wieku i zupełnie nie odpowiadasz za swój sceptycyzm... za swój ateizm; w każdym razie jest rzeczą niezaprzeczoną, że związek kobiety tak pobożnej i tak gorąco wierzącej jak moja synowica, z takim jak pan człowiekiem, byłby mezaliansem moralnym, mogącym wywołać najzgubniejsze następstwa... Czy sądzisz pan, że obowiązek mój, jako krewnego panny de Courtcheuse, jako biskupa i ojca jej duchowego, dozwala mi ułatwić zawarcie podobnego małżeństwa, przewodniczyć przerażającemu związkowi dwóch dusz rozdzielonych całym obszarem nieba?... Powiedz pan sam, czy uważasz to za odpowiednie dla mnie zadanie?...

Zadając mi to pytanie, biskup bystro wpatrywał się we mnie.

— Ekscellencyo — odrzekłem, po chwilowem zakłopotaniu — znasz równie, a pewnie lepiej ode mnie, obecny stan świata i kraju naszego... Wiesz zatem, że nie jestem wyjątkiem, niestety!... Ludzi wierzących jest nader mało i pozwól mi ksiądz biskup objawić szczerze myśl moją, czy jeźli dotknie mnie cios niepocieszony, jeźli zmuszony będę wyrzec się spodziewanego szczęścia, czy ten którego synowica Waszej Ekscelencyi zaślubi prędzej lub później, nie będzie gorszym jeszcze niż sceptyk albo nawet ateusz?

— A któż mógłby już być gorszym?

— Obłudnik, Ekscellencyo. Panna de Courtcheuse jest tak ładna i bogata, iż ktoś mniej skrupulatny jak ja, może zapragnąć pozyskać jej rękę... Co do mnie, wie Wasza Ekscellencya, że jestem sceptykiem, ale z drugiej strony wiadomo mu także, iż jestem uczciwym człowiekiem... a to przecież coś znaczy.

— Uczciwym!... uczciwym... — szepnął biskup z pewną niechęcią i wahaniem — mój Boże! chcę temu wierzyć...

— O! nie; ksiądz biskup jest o tem przekonany — odparłem żywo — i pozwoli mi przypomnieć sobie: iż gdyby nie prawość mego charakteru, byłbym dziś narzeczonym panny Aliety.

Poruszył się w fotelu, odpowiadając z godnością i prostotą: — Prawda!

Przez chwilę bystro patrzył mi w oczy.

— A więc, na tę uczciwość, którą się tak chlubisz, powiedz pan czy możesz przyrzec mi uroczyście: że nigdy gorąca wiara mojej synowicy nie zachwieje się z twojej winy, że twoje nawyknienia, wyrażenie się, złośliwe drwinki a nawet mimowolne szyderstwa, nie zakłócą spokoju tej czystej, młodej duszy... nie zasieją w niej smutku a może kiedyś i zwątpienia?... Czy przypuszczasz, że i ona sama i ja chciałbym narazić ją na podobne niebezpieczeństwa?

— Odpowiem na to Waszej Ekscellencyi, iż uważałbym się za nikczemnika, gdybym nie uszanował wiary i religijności mojej żony. Nigdy jeszcze usta moje nie wypowiedziały jakiegoś szyderstwa z rzeczy religijnych. Jestem niewierzącym, ale nie bezbożnikiem. Nigdy nie znieważałem i nie znieważę tego co uwielbiałem... Pojmuję doskonale, że można utracić wiarę, ale tego nigdy pojąć nie zdołam, aby ten kto w dziecinnych latach klękał przed krzyżem obok matki swojej, mógł nie uszanować w nim swojej matki i swoich lat dziecinnych!...

Wypowiedziałem to z pewnem uniesieniem. Oczy biskupa zrosiły się łzami i przyznaję, że wzruszenie jego i mnie się udzieliło.

— No! — odrzekł łagodnie — nie jesteś pan tak zatwardziałym niedowiarkiem jak mniemasz, a moja ukochana Alieta jest jedną z tych kobiet gorącej wiary, za których pośrednictwem Bóg cuda czyni niekiedy...

— Jakkolwiek wiele mnie to kosztuje, że właśnie w chwili, gdy serce Waszej Ekscellencyi zdaje przechylać się ku mnie, muszę wyznać mu całą prawdę, nie cofnę się jednak przedtem, bo powtarzam, nie chcę szczęścia mego zawdzięczać kłamstwu. Wyznaję więc, że przed chwilą dosłyszałem mimowolnie kilka słów rozmowy Waszej Ekscellencyi z panną Alietą; zrozumiałem, a teraz pojmuję to lepiej jeszcze, że nadzieja nawrócenia mego stanowić może główną pobudkę zezwolenia na nasz związek, tak księdza biskupa jak i jego synowicy... Otóż zapewniłem Waszą Ekscellencyę czego nie potrzebujecie się obawiać, ale zarazem nie będę taił, czego nie możecie obiecywać sobie. Czuję, że wiara w rzeczy nadprzyrodzone zamarła we mnie na zawsze, że nawet ślady jej się zatarły... nakoniec, że żadna ze skał Morza Czerwonego, nie jest mniej zdolną do pokrycia się roślinnością, jak dusza moja do przyjęcia choćby najsłabszego zarodku wiary.

— Skoro pan tak myślisz, postępujesz uczciwie nie ukrywając tego... Ale któż zna drogi Boże!

Powstał z fotelu.

— Synu mój — rzekł poważnie — chcę zakończyć tę rozmowę słowami jednego ze świętych papieży naszych. — Błogosławieństwo starca nigdy nie może zaszkodzić... Czy chcesz odebrać moje?

Pochyliłem kornie głowę.

Nakreślił nad nią znak mistyczny, odszedłem pożegnawszy go głębokim ukłonem.

Przywołał mnie gdy już miałem wychodzić.

— Panie de Vandricourt — rzekł — nie odjeżdżaj; chciej zaczekać w ogrodzie.

. . . .

. . . .

Tu kończę dziennik do którego nakłoniła mnie tak ważna zmiana, zaszła w mojem życiu. Panna de Courtcheuse, za zezwoleniem rodziny, raczy oddać mi swoją rękę. Przyjmuję ją z najgłębszą wdzięcznością i uczynię co tylko będzie w mej mocy, aby żona moja była tak szczęśliwą, jak jest piękną, kochaną, godną czci i poszanowania.

KONIEC CZĘŚCI I-ej.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

RYCERZ MORA.

(Dalszy ciąg.)

Bartek chciał coś odrzec, drapiąc się po kudłatym łbie, gdy nagle wystąpił naprzód Boruta i zarzucając z fantazyą jedną połowę delii na ramiona, pokręcił wąsa i uśmiechając się jakoś po dyabelsku a strzelając dokoła płomienistym wzrokiem, rzekł:

— Jakże to możesz gadać Żwanie! Tyle razy mówiłem ci ja sam o imcipanu Litaworze, młodzieńcu znanym i pełnym rycerskiego animuszu, jeno trzymanym dotąd przy fartuszku. Ale kiedy ojczyzna jest w niebezpieczeństwie, tedy pan Litawor, który jest szlachcic starodawny — tu groźnie mówca spojrzał na pana Żabę — rzucił wszystko i chwyciwszy za szablę biegnie bić wroga.

Tu Boruta zakręcił wąsa i spojrzał dokoła, śmiejąc się jakoś dumnie.

— Czysty dyabeł! W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego! — szeptał pan Samuel.

— Ale tu nie ma czasu na te tam deliberacye!— rzekł nagle Boruta. — Nam trzeba na koń i do lasów Wilkowickich. Jeno nim rozpoczniemy tak wielką imprezę, należy nam obrać wodza. Obierzmyż sobie tedy, mości panowie, hetmana!

To rzekłszy, skłonił się wszystkim jakoś po dyabelsku, łysnął ślepiami, poszedł do stołu, wypił wina i zbliżył się do Bartka i Litawora, którzy po prezentacyi siedli sobie w kącie i coś tajemniczego szeptali. Boruta nachylił się do nich i także coś szeptał i śmiał się i szczerzył zęby, zwłaszcza do owego Litawora.

Tymczasem tam między szlachtą okrzyknięto Żwana hetmanem — a ten nakazał natychmiast siadać na koń. Jakoż w jednej chwili izba się wypróżniła, został jeno Bartek i on Litawor.

Bartek obejrzał się dokoła i drżącym głosem, chwytając wpół swego druha serdecznego, szepnął:

— Jagusiu, jeszcze całusa!

— Ale mój Bartku!... — zadźwięczał srebrzysty głosik — niemożna, jeszcze kto obaczy.

— Kto tam obaczy!

— I nie pytając już, całował namiętnie onego szlachcica mazurskiego, co się tak dzielnie nazywał. Bawić się jednak w ten sposób nie można było długo, bo na dziedzińcu wrzawa i ruch dowodziły, że na gwałt zabierano się do wymarszu. Jakoż w ćwierć pacierza, sporządzono całe wojsko i wyruszono długim, wężowym skrętem na tę wyprawę, co miała się stać początkiem klęski Karola Gustawa.

Noc była mroźna. Śnieg twardy skrzył się od gwiazd jak nasiany iskrami. Niebo było czyste, bezchmurne, nabite gwiazdami jak złotemi ćwiekami. Cisza była wielka w przyrodzie, jeno od puszczy szedł jakiś głuchy szum i szmer. W milczeniu posuwano się naprzód, a tylko śnieg zmarzły skrzypiał pod nogami ludzi i koni, czasem zabrzęczała szabla lub kosa, czasem koń parsknął. Na czele, w towarzystwie pana Samuela i dwóch szlachty, jechał Żwan, za nim Piotr stary, a za tym postępowały szare szeregi chłopstwa. W klingach kos wyostrzonych przeglądały się gwiazdy a szmer cichych rozmów rozlegał się dokoła. Chłopi, źle ubrani, niektórzy tylko w kożuchach, reszta w świtkach i sukmankach, wielu bez butów, jeno w łapciach lipowych, dzwonili zębami od zimna. Niekiedy zatrzymywali się i zdjąwszy jednopalczaste rękawice, bili rękami, dla ich rozgrzania, o plecy. Na samym tyle, pod wodzą imcipana Boruty, postępowała cała jazda wojska Żwanowego, więc hajducy, trochę szaraczków, trochę dworskich i parobków wiejskich. Obok Boruty jechał Bartek i Jagusia, inaczej szlachcic mazurski Litawor. Tutaj rozmawiano wesoło i śmiano się nieraz głośno. Boruta opowiadał ciekawemu Bartkowi, ja-

ko napadł na dwór w Wąsoszu, jak pomimo krzyków imcipani Koszarskiej kazał hajdukom siadać na koń; jak wreszcie zdybawszy Jagusię, namówił ją by z nim uciekała, jak kazał jednemu ze swych ludzi dać jej ubranie, które mieli w tłomokach i jak nakoniec szczęśliwie z Wąsosza wyjechali.

— Powiadam ci, Bartku, czas już był wielki, bo twoja matusia, Szwed baba, nakazała we dzwony na sygnaturce w kościele bić i już chłopy się zbiegali z kłonicami do dworu. Ale myśmy w konie i całośmy wyszli. Oto masz wszystko co chcesz wiedzieć.

— No! — rzekł Bartek — twoje szczęście, dyable Łęczycki i ja ci przysięgam, że gdybyś ty nie był dyabłem, tobyś nic w Wąsoszu nie zrobił, jeszczeby cię matusia schwycili i bizun byłby w robocie... Przysięgam Bogu, żeby tak było...

— Ha! ha! ha! — śmiał się cicho Boruta — już to twoja matusia, mój Bartku, lubi sypać bizuny i rózgi. Oto po twojej ucieczce, kiedy przyjechała do domu i nie zastała ciebie, a dworscy zausznicy wyśpiewali jej wszystko jako było, i jako panna Jagnieszka cię wyprawiała, to matusia znów zaprosiła tu obecnego rycerza Litawora do sypialni i słyszę rózgi aż świstały...

— Jakto?—zawołał żałośnie Bartek —oćwiczyła cię, Jagusiu, matusia!

— Tak! — szepnął rycerz Litawor.

— I dużo ci dała?

— Trzydzieści!

— A Jezu święty, Jezusieńku! — załamał ręce Bartek i nuż biadać a wyrzekać, aż się Boruta zachodził od śmiechu.

Kiedy tu tak gadają, na czole między Żwanem a panem Samuelem, inna toczyła się rozmowa, cale poważniejsza i pełna smutku.

— Źle się stało — mówił Żwan — żeśmy się dali zdurzyć temu Łęczyckiemu dyabłu, Borucie...

— A to jak? — pytał pan Samuel — a najprzód, nim poczniemy o czem gadać, powiedz ty mnie, mój Ignac, co to jest ten Boruta, bo mnie się widzi, że to jest sam dyabeł w swej własnej personie. Jeżeli zaś tak jest, to już w żaden żywy sposób nie godzi nam się z nim wojować, bo choć on nam jako dyabeł dużo dopomódz może, wszelako zawżdy to będą sztuczki szatańskie i na zatracenie nasze dusze powiodą. Powiada on się być twoim przyjacielem, jestże to tak?

— Przyjacielem, jak przyjacielem — odrzekł Żwan — ale człek to dobry i do tańca i do różańca.

— Więc nie żaden dyabeł?

— Ale zkądże znowu! Szlachcic jak się patrzy i dostatni nawet. W Łukowskiem siedzi dużo Borutów, jeno ojciec jego był pono szalony i dlatego mu dał takie dziwne i nie polskie, a może i pogańskie nawet imię na chrzcie świętym, jakieś tam Rodrigus...

— Ano... to nie jest pogańskie imię. Rodrigus był świętym i czytaj Żywoty księdza Skargi a dowiesz się, co on dobrego i Boskiego ten Rodrigus czynił. Ale to do rzeczy nie należy. Gadajże mi o tym Borucie, bo on mi cale na dyabła patrzy. Nie jest więc dyabłem?

— Ale nie, jako żywo. Katolik jest dobry...

— No, a mnie ten Bartek Koszarski gadał, że to dyabeł.

— Iiii... Bartek jest głupi. Co zaś do owego Boruty, to ożenił się z Łęczycanką, panną Gostnicką, bogatą jedynaczką, ale wielkim herodem. Tedy Boruta sprzykrzył sobie codzienne swary, uciekł od Łęczycan, którzy go dyabłem zwali i kupił sobie tu w Wieluńskiem wieś, ale słyszę Szwedzi mu ją spalili...

— A tak, sam o tem gadał.

Przez chwilę trwało milczenie. Konie na mrozie parskały i zagłębiono się już w wielkie puszcze, otaczające Smolarze i ciemno tu było jak w grobie. Po puszczy szedł szum ponury i puhacz gdzieś krzyczał żałośnie.

— Otóż, ja powiadam, że źleśmy uczynili, dając się zdurzyć temu Borucie.

— A jakże on nas zdurzył?

— Ano... kiedy Horn wyszedł z połową swej załogi, to właśnie najlepiej było uderzyć na Krzepice i wziąć je, a nie szukać onego Szweda po puszczach, ile, że ja wątpię, czy go najdziemy...

— A czemużbyśmy go nie mieli naleźć? Inną drogą on nie idzie, bo z Krzepic do Kłobucka jedna tylko wiedzie droga na Wilkowice. Naleść, to my go najdziemy. I ja widzę w tym Borucie cale piękne przymioty na wodza, kiedy on taką plantę wymyślił, jako ta jest. Napaść na Krzepice łatwo, ale czy łatwo je wziąć, nawet przytem, że tam jeno połowa załogi ostała. Ta połowa jest jeszcze tak silna jak i my, i stary to żołnierz, a nie nasze chłopy od pługa i brony. Widziałem ja, jako się Szwedy biją i wiem, co to z nimi wojna. A przytem Krzepice, toć przecie nie szlachecki dworek, jeno zamek, forteca murem i wałem ziemnym otoczona i harmaty mają, a nie tak jak my, kłonice i widły... I gdyby Krzepice tak łacno było wziąć, jako się tobie, mój Ignac zdaje, w serdecznej twojej desperacyi, toby je wziął pan Warszycki, który ma i ludzi więcej jak my i strzelbę i harmaty. On zasie, choć mu córkę Szwed porwał, nie czyni tego bo wie, żeby odszedł od murów krzepickich pobity. Ja tedy gadam i mocno przy tem stoję, że planta onego Boruty jest nader rozumna. My w lesie z kosami silniejsi będziemy jak całe wojsko Horna, i kiedy z zasadzki a z zasieków, które poczynić trzeba będzie, wypadniemy, to nic nam się nie oprze. Ja już pilnować będę onego Horna i capnę Szweda za łeb tak, że ci go żywym lub trupem przywiodę. Zawżdy jednak będę go chciał żywcem wziąć, bo wtedy wymienimy go za kasztelankę...

— Niech ci Bóg zapłaci za twe serce ku mnie, mój Samusiu. Może to i dobra rada onego Boruty, może nawet ona się powiedzie, ale mnie wszelako wszystko coś ciągnie ku Krzepicom... I gdyby nie to, że zmiana planty zawżdy źle działa na wojsko, tobym zaraz zawrócił i ruszył pod on zamek... Mnie nie Horna trzeba ale kasztelanki, bo inaczej, to ja jak pies zdechnę z desperacyi, albo łeb sobie gdzie o mur rozbiję...

— Otóż to jest rycerz polski! — zawołał ponuro, swym grobowym głosem Lniski. — On porwał się na wroga swej ojczyzny nie dlatego, że ten wróg ogniem i mieczem niszczy wszystko, ale dlatego, że mu wziął do niewoli dziewkę. Tfu! do kaduka, mój Ignac, nie gadaj mi tego, bo kiedy słucham, to mi tak jest, jakbyś mi serce lub wnętrzności ogniem piekł...

— I czego ty na mnie się sierdzisz, mój Samuśl... — zawołał melancholijnie Żwan. — Toć że ja jestem w desperacyi, jeszcze mnie prześladujesz?...

— Nie prześladuję ja ciebie i nie sierdzę się cale. Ale mnie ból wielki zdejmuje, gdy widzę, jako wy wszyscy nie miłujecie tej Polskiej Korony. Byś rozkroił serce moje, obaczyłbyś tam jedno tylko słowo: giniemy! Oto, czego ja się sierdzę... Ale tu jest wszystko dobrze, bo łacniej tobie będzie dostać kasztelankę tam, w lesie Wilkowickim, niż pod Krzepicami...

— Ha! niech i tak będzie.

Tak gwarząc a gadając, posuwano się ciągle naprzód wśród głębokiej ciszy nocnej, wśród mrocznej puszczy sosnowej.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

OSTATNIA WYPRAWA AMERYKAŃSKA DO PÓŁNOCNEGO BIEGUNA.

Wedle danych, zaczerpniętych z dzieła

W. de Fonville,

ułożył

B. Z. B.

(Dalszy ciąg.)

XIII.

Po długiej rozmowie, prowadzonej poufnie z majorem Greely, dla zapobieżenia wszelkim wieściom, mogącym szkodzić wracającym rozbitkom, polecono oficerom odkopanie ciał zmarłych i przeniesienie ich na okręt.

Tyle niezwykłe rozporządzenie upozorowano chęcią uczczenia nieboszczyków, jako poległych dla sprawy obchodzącej cały świat ucywilizowany.

Admiralicya amerykańska przewidywała widocznie liczne zejścia, bo nadesłała dostateczną ilość trumien, dla przewiezienia ciał w celu pochowania takowych na ojczystej ziemi. Inna jeszcze boleśniejsza czynność zasadzała się na operacyi, dotyczącej Ellisona. Położenie tego prawdziwego męczenika było zaiste przerażające; amputacyą dwóch nóg uważali doktorzy za konieczną, rozkład ciała był widoczny, rany aż do kolan poczerniały i gangrena w prędkim czasie mogła ogarnąć cały organizm. Z drugiej jednak strony, operacya taka przy osłabieniu chorego i warunkach klimatu, sama przez się spowodowywała śmierć nieomylną; poco więc krajać człowieka, któremu nie wiele czasu pozostawało do życia? Któż jednak zbada tajemnice życia ludzkiego, chrześciański obowiązek nakazuje ratować wytrwale cierpiących, choćby nawet bez żadnej nadziei powodzenia.

Postanowiono więc przystąpić do amputacyi tem trudniejszej, że przy ówczesnym stanie Ellisona niepodobna go było usypiać; raz pogrążony w śnie letargicznym, już nigdy nie wróciłby do przytomności.

Chory mimo obłąkania zachował niepojętą bystrość umysłu, ale zwróconą zawsze w jednym kierunku. Widział się otoczonym przez ludożerców i błagał ich, aby zamiast krajać go na kawałki, przedewszystkiem odebrali mu życie.

W chwili w której amerykańskie okręty podno-

siły kotwicę, nadpłynął okręt angielski *Alerte*, witający strzałami armatniemi udzieloną mu nowinę, odszukania naukowej kolonii dowodzonej przez majora Greely.

Odpowiedziała na takowe amerykańska artylerya, oddając pierwsze honory uratowanym rodakom swoim.

Następnie puszczono się szybko w drogę, aby ofiary mrozu przewieźć jak najprędzej do łaskawszego klimatu.

Pewna jednak zwłoka na brzegach Grenlandyi była konieczna z powodu udzielonych instrukcyi przez rząd amerykański. Do liczby zmarłych, należał Eskimos Christiansen, którego należało pochować uroczyście na rodzinnej ziemi. W obliczu śmierci wszyscy byli równi, tak ludzie dzicy jak i ucywilizowani i wszystkim jedne posługiwały prawa. Łatwo można wystawić zadziwienie krajowców, skoro na cześć jednego z nich i do tego zmarłego, wystąpiło wojsko w mundurach i dały się słyszeć strzały armatnie.

Zwłoki zmarłego nieśli na ramionach oficerowie marynarki, a świetne ich mundury czyniły na świadkach pogrzebu żywe niezmiernie wrażenie. Pozostała po Christiansenie wdowa, wedle miejscowego zwyczaju, dla udowodnienia swego żalu, wydawała przeraźliwe krzyki, ogłuszające prawie obecnych. Komandor dla uspokojenia bolejącej kobiety, kazał wręczyć przeznaczone dla niej podarunki, mianowicie: rozmaite części ubrania podbite futrem, obfitą żywność w konserwach, a nareszcie znaczną kwotę pieniędzy w złocie. Skutek przeszedł wszelkie oczekiwanie, ale bez wielkiej korzyści dla uczestników pogrzebu, bo żal zastąpiły nie mniej gwałtowne wybuchy radości, przykrzejsze jeszcze w tej chwili od krzyków i jęków rozpaczy.

Nie ubiór jednak ani pokarm zyskał największe uznanie obdarowanej, ale... złoto.

Po oddaniu ostatniej usługi zmarłemu uczestnikowi wyprawy, nie było powodu do zwłoki, a ponieważ nie zaszła żadna przeszkoda opóźniająca podróż; okręta więc szybko płynęły, bo całą załogę od dowódzcy do prostego majtka, ożywiała jedna chęć prędkiego powiadomienia mieszkańców Ameryki i całego świata ucywilizowanego, o szczęśliwem zakończeniu przedsięwziętej wyprawy.

Okręta były mocne, parowe maszyny zbudowane dokładnie, morze znacznie oczyszczone z lodów; wszystko więc sprzyjało żegludze i wkrótce powitano brzegi Nowej Ziemi, zkąd podmorskim telegrafem zawiadomiono admiralicyą o zaszłych wypadkach i nastąpionym powrocie. Nie znajdujemy w dziele pana de Fonvielle wytłomaczonej przyczyny, dla której dalsza podróż przerwaną została, co jednak koniecznie musiało nastąpić, bo w dalszym ciągu czytamy opis wypadków, które w razie przeciwnym nie mogłyby mieć miejsca. Szczególniej dwie okoliczności zasługują na wzmiankę.

W czasie pogrzebu Christiansensa, żaden z byłych członków naukowej kolonii nie przyjął udziału w ceremonii z powodu wielkiego osłabienia. Po przybyciu do Nowej Ziemi najsilniejszy ze wszystkich, major, potrzebował jeszcze pomocy, aby wstać lub położyć się do łóżka, a przechadzał się nie inaczej jak wsparty na ramieniu którego ze służących. Jeżeli chciał użyć ruchu samotnie, to posługiwał mu do tego fotel na kółkach, który popychał za pośrednictwem ostro okutej laski.

W ogóle pod wpływem bolesnych myśli ogarniających umysł, nie lubił towarzystwa.

Pewnego poranku, kiedy spoczywał na sofie więcej zniechęcony do świata i ludzi, nagle wbiegła do jego kajuty z krzykiem radości, kobieta młoda i piękna, na której widok, major zapomniawszy o swem osłabieniu, zerwał się szybko z sofy i pobiegł na jej spotkanie: wkrótce dwoje kochających się małżonków, znalazło się we wzajemnem objęciu.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Wystawa konkursowa rzeźb i obrazów.

(Dokończenie.)

Pan Styka Jan, malarz treści religijnej, choć brak mu studyów, któreby prócz draperyi, pozwoliły pomyśléć o czemś jeszcze, odarzył wystawę aż dwoma obrazami: jeden przedstawia *Magdalenę*, własnego pomysłu; drugi *Nowicyuszkę*. Magdalena pokutująca na puszczy, to przystojna, dość kształtnie zbudowana dziewica, o świeżej cerze i prześlicznych, starannie, z pewną nawet zalotnością rozpuszczonych włosach, modli się, takby sądzić można, ale niezbyt szczerze, bo zateatralną obrała pozę. Widocznie, że p. Styka uchwycił ją w chwili, gdy zaczynała dopiero pokutować na puszczy, inaczej, szarańcze i miód leśny ująłyby jej dużo z realnych przymiotów i ciała. *Nowicyuszka*, to malowane popiersie młodej dziewczyny, biorącej zakonną zasłonę. Twarz takich dziewcząt powinna wyrażać albo rozpacz bezgraniczną (jeżeli wstępuje do zakonu z musu), albo też bezgraniczną ekstazę. Tymczasem cóż widzimy? Woskową, otuloną w welon twarzyczkę bez wyrazu, o dużych, głupkowatych oczętach. Nowicyuszka trzyma w prawej ręce świeczkę ubraną kwiatkami i kokardką; patrzących chęć bierze zgasić tę świeczkę a ją samą posłać do szkoły. Podobne dziwolągi dawać na wystawę, zakrawa na chęć zażartowania z publiczności, co też pewno uczynić chciał i p. Malecki Wład. malując obrazek *Z nad Horynia*, z cerkiewką w głębi i kupą koni na łące, które wszystkie mają czarne podbrzusza a kilka po trzy i po pięć nóg nawet. Domyślamy się, że to konie, ale, to domysł tylko, bo wszystko tam niewyraźne, zatarte i nawet pastuch i ludek w dali i ekonom czy coś podobnego na pierwszym planie, wyglądają jak odłamki zapałek niedbale oznaczone.

O wiele już lepszy obrazek jest p. Szernera *Lisowczyki w przeprawie*, gdzie i ludzie i konie jak cacka wyglądają a malowane tak starannie, tak niewymuszenie i z taką drobiazgową dokładnością, że przypominają Kossaka. Lisowczyki to opryszki niemal, miecz prawa nad nimi zawieszony. Na pierwszym planie dowódca, pochylony na dzielnym i dzielnie namalowanym koniu, prawą ręką chroni oczy od blasku i spogląda ku rzeczułce; przy nim zapewne setnik podkomendny. W głębi na prawo, placówka. Jeździec trochę niewyraźny, ale co za koń! To bachmat turecki, strzyże uszami, zrównał nogi i nieruchomy stoi; znać czuje dobrze ważność stanowiska. W środku obrazu, zepełnie w głębi już, na pół ukryta w trawie reszta bandy.

Obraz pana Szernera miłe sprawia wrażenie, zapowiada nam artystę łamiącego się dzielnie z trudnościami artysty, który ma przyszłość przed sobą.

Zwracamy się na prawo... jeszcze jedno płótno nagrodzone: to *Ostatnie wieści*, Maszyńskiego Juliana. W parku, przy kracie, w poręczowem krześle, leży ubrana młoda, dość brzydka kobieta, której jednak twarz niesympatyczną okrasza urok niemocy. Biedna... dogorywa widocznie, zapewne ostatni raz widzi słońce i kwiaty, ostatni raz napawa się wonią roślin. Przy niej, krewniaczka uboga, czy też pokojówka, w ogromny, jaskrawy fartuszek owinięta, tłumi łkanie; naprzeciw chorej, roznosiciel listów, wyszukuje właściwy z pomiędzy kilkunastu, trzymanych w lewej ręce, przynosi *ostatnie wieści*, zapewne z dalekiej ojczyzny. Sympatyczna twarz roznosiciela wyraża coś, jakby żywy udział, widocznie i jemu przykro patrzéć na dogasającą śród zieleni. Myśl obrazu bardzo piękna, wykonanie staranne, ugrupowanie prawie bez zarzutu. Na licu chorej niewidać nawet niecierpliwości, zastępuje ją znękanie. Całość sprawia przykre wrażenie.

Obok utworu p. M. znajdujemy duży obraz rodzajowy, przedstawiający *Ofelię* w naturalnej wielkości, śród gęstwiny parku, u brzegu strumyka. Twórca obrazu p. Szyndler Pantaleon, ma coś Makartowskiego i w traktowaniu przedmiotu i w koloraturze. Najwykwintniejszy salon jego „Ofelia" mogła-by ozdobić z pewnością. Przedstawił nam pełną wdzięku, dziwnie ponętną, nawet w chwili, gdy wszystkie złe namiętności w niej się budzą, mistrzowsko zbudowaną córę Albionu, o popielatych włosach, o ustach rozwartych i zapalonych ogniach w źrenicy. Suknia z popielatego atłasu, obcisła, uwydatnia plastycznie pełne, zastosowane do drobnej postaci kobiety zarysy łona, szyi, bioder; widać odrazu, że to lady Ofelia żyje, rusza się niemal, słychać dźwięk jej głosu, czuć woń czarowną, wiejącą z całej postaci. Wykończenie obrazu staranne nad wyraz, przedmiot traktowany śmiało a z prostotą, tło do postaci odpowiednie. Obraz ten został pominięty, równie jak i mogący rywalizować z „samą jedną" Dulembianki, *portret pani Akerman*, Merwarta, przedstawiający siedzącą, trochę bokiem do widza staruszkę o sympatycznej choć surowej twarzy, wykończony jak obrazy Delaroche'a.

Pan Merwart nie pierwszy już raz kołacze do uznania sędziów i ogółu, pierwsi jednak niebardzo dłań są, jak mniemam, życzliwi.

Jeszcze dwa obrazki zwracają naszą uwagę: pana Lepszego Edwarda *Alarm w XVI-ym wieku* i Szwojnickiego *Dwie rozpacze*.

Alarm to pożar w Krakowie, widziany z wieży kościoła Maryackiego; strażnik uderza w kocioł wystawiony na pasach za okno, pochylony przy nim drugi, przykłada do ust dużą trąbę czy tubę. Obok, mały chłopiec pnie się ku górze, do sznura od dzwonu, na prawo ulokowany już jeden szlachcic, przy karabeli, podaje starszemu, w delii podbitej sobolami rękę, aby mu pomódz wygramolić się na schody. Obraz niezły, wykończenie staranne, ubiory wiernie kopiowane i rysunek poprawny wróżą malarzowi pomyślne jutro.

Obraz *Dwie rozpacze* Szwojnickiego, przedstawia krwawy zachód słońca na morzu. Na kraju urwiska stoi rybak włoski, rosły, o sympatycznej twarzy mężczyzna, z wyciągniętemi rękami, z wyrazem trwogi na męzkiem obliczu, zapatrzony w przedmiot jakiś dla oka patrzących niewidzialny, zapewne w tonącą barkę. Przy nim, na przodzie obrazu klęczy z załamanemi, rękami piękna,

młoda kobieta, żona lub siostra może. Oblicze złamanej bólem, świetnie jest malowane, wszystko co czuje, odbija się na tej pięknej, skrzywionej bezgranicznem teraz cierpieniem twarzy. Obraz ten *dwóch rozpaczy* oświetla bladawo purpura słońca, także niewidzialnego dla patrzących na utwór p. S. co tem większy efekt wywołuje. Perspektywa całości zachowana sumiennie, odzież sfałdowana na postaciach nader zręcznie, podnosi efekt ogólny i miłe sprawia wrażenie.

Rzeźby ograniczają się do *popiersia charakterystycznego* z białego marmuru, przedstawiającego głowę starca z pociesznie wykrzywioną twarzą, p. Zawiejskiego (nagrodzone), Pyrowicza Ludwika *Niewolnicy*, Wojdygi Jana *Rybaka* (nagrodzona) i dwóch popiersi jeszcze.

Praca pana Zawiejskiego bardzo dobra, zasłużyła na odznaczenie i szkoda, że tego samego nie możemy powiedzieć o modelu z gliny Wojdygi, który jest nader pospolity a dzieciak trzyma w ręce rybki, odlane... w formach od lodów z cukierni.

„Niewolnica" p. Pyramowicza, to przedmiot piękny, dość niedbale traktowany. Główną wadą posągu nagiej kobiety, związanej powrozami, jest to, że ma głowę za pospolitą i że postać stoi, miasto leżeć lub być opartą o złam skały. Tak silnie przez piersi skrępowana, z rękami w tył, musi koniecznie stracić równowagę.

Kawałek futra dziwacznie, nieprawidłowo osłania biodro lewe. Sympatya widza dla „Niewolnicy" powróż wtedy dopiero obudzi, jeżeli i wyraz twarzy i kształty ciała wywołują same przez się dodatnie wrażenie.

W ogóle wystawa konkursowa zrobiła małe fiasco a jeżeli to nie wina areopagu sędziów, to i nie artystów z pewnością. Zdolniejsi, z więcej znanem i wyrobionem nazwiskiem, usunęli się... może i słusznie, niechcąc walczyć o palmę pierwszeństwa ze strażą aniołów i przekrojonym melonem, przepraszam, Sadzawką w Syloe.

Z. G.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Co życie dało. Hajota.

Nim przejdziemy do oceny tego, co życie dało pannie Hajocie, uważamy za obowiązek złożenia aktu uznania nakładcy, który zapewne ze względu na tytuł powtórzony z czeskiego, dał śliczny druk, śliczną okładkę i śliczny obrazek autorki, z którego widzimy, że ma dość sympatyczne lice i piękne, wymowne, czarne oczęta. Jeżeli to... reklama, to zręczna bardzo i winszujemy pomysłu.

Zapewne jednak spytacie, kto jest owa panna Hajota (H — J)? Sympatyczna autorka... czego? Tego co... „życie dało". A cóż nam życie dało? Dużo, dużo smutków i zawodów, morze łez, góry gorzkich rozczarowań, jak wyraża się kwieciście jeden z mych kolegów.

Autorce jednak, nieobracającej się w sferze spółczesnych zawodów życie dało... 1 *Zgubioną*. Ale któż jest tą... zgubioną Hajoty? spytacie jeszcze. Zgubiona, to niejaka panna Bronisława, bronić siebie nie umiejąca wcale, którą zgubił niejaki pan Maryan, w chwili szału, potem odbierający sobie życie z rewolweru buchającego... *wonią siarki*. Szczególny zaiste rewolwer a szczególniejszy jeszcze przedmiot do nowelli! Życie daje chyba coś bardziej dodatniego i zajmującego niż takie powszednie mizerye mających upaść ochotę dziewcząt i polujących na nie nicponiów, jak ów Maryanek. Nie wiem dlaczego też wywatowano *Zgubioną* jakimś profesorem Rudolfem Zaklinką, brzydkim lecz... *atletycznie zbudowanym*, jak utrzymuje autorka. Zaklince jednak zgubić po raz wtóry *Zgubioną* nieudało się mimo atletycznej budowy i... finita la comedia.

Czarne paciorki to wielkie... *nic* gładziutko napisane, pendant do *Jesienią i Wiosną* (zapewne *śród* lub *w* jesieni i t. d.), gdzie widzimy suchotnika, któremu robi *się* coraz gorzej aż... umarł nareszcie.

Dalej, czytamy nowellę p. t. *Dwa pogrzeby*, w której niejaki pan Karol w jednym dniu, o jednej godzinie i minucie traci żonę, którą kochał i kochankę, którą ubóstwiał. Obie te... panie umierają razem niemal, są wystawione w tym samym kościele, chowane w tym samym dniu. Sens moralny: że nie trzeba mieć żony i kochanki lub kochanki i żony... razem, jak kto woli.

Obrazek grzeszy nieprawdopodobieństwem i bardzo ujemne sprawia wrażenie.

W nowelli *Pamiętasz?* wprowadza nas autorka do zacisza, zwanego „Cabinet particulier".

Treść banalna, niczem nieusprawiedliwiona! p. Seweryn, zbałamucił kiedyś... niewinną panienkę, która potem poznawszy się na czarnym charakterze mężczyzn w ogóle, wyszła zamąż za pierwszego z brzegu.

Pamięta jednak bo ma pamięć wyborną, a choćby i zapomniała, przypomniałby jej to Sewerynek, posyłający w którąś rocznicę, przez posłańca swój bilet z nagłówkiem nowelli. Sens moralny: że człowiek dobrze wychowany, gdy zabłądzi do którego z *naszych* „Cabinets particuliers", musi w nim popełnić... infamię.

Dalej znajdujemy nowelką *Tylko słowo*, ale autorka naśladująca utwór francuzki, zapomniała, że pijak F. Cooppée'go, kreślący na stole zalanym winem imię kochanki, to typ przeciętny, a nawet wielkiego poety, jest... arcy dziełem. Naśladowanie Hajoty więcej niż chybione. Od *Fantazyi* uciekamy za góry i lasy, jak również ja.. od *Mojej Tancerki*, niechcąc należeć do młodzieży pełnej *ideałów i... żądz*, wedle pojęć panny H.

Do tej samej kategoryi niezręcznie pisanych zaliczamy *Nemezys*, *Zaklęte źródło* i *Rok nowy*, do którego wozu sympatyczna autorka zaprzęgła wieszczki, pegazy, muzy i t. d., słowem cały skład nadprzyrodzoności.

Teraz zapytujemy, czy to tylko życie jej dało? Same wstrętne, nielogicznie ujemne strony, same zawody w żądzach i w wybrykach.

Po przeczytaniu, nasuwa się mimowoli myśl, czy nie szkoda takiego ładnego papieru i druku i okładki i ofiarowanego czytelnikom portreciku?

Rozumiemy, że bronzem, marmurem, litografią lub pendzlem, narody czczą swe wielkości, że oblicza swych znakomitości obu płci, przekazują w ten sposób potomności, ale pojąć nie możemy co ten cel w przedstawieniu nam przy tomiku przedruków z Kuryerka i Reformy portretu twórcy tych naśladowań z francuzkiego? Czytelnikom, zapewne, więcej zależy na treści niż na okładce i obrazku.

WIADOMOŚCI Z KRAJU.

*** **Fałszywy przyjaciel.** Korespondent jednej z rosyjskich gazet, dziwiąc się niezmiernie, że w Warszawie i na prowincyi *coraz nowe* powstają kościoły, rozczula się nad ludnością wiejską, z której jak mówi, ostatni grosz na ten cel wyciskany bywa. Tylko zła wola, przy zupełnej nieznajomości miejscowych stosunków, może do podobnego wniosku doprowadzić. Budowy i restauracyi kościołów podejmuje się ludność z własnej woli, a nawet z żywem i serdecznem uczuciem, że zaś uchwała i rozkład ofiar odbywa się pod okiem władzy, to przecież jest bardzo naturalne.

Naszem zdaniem, władza katolicka dobrze zrobi gdy zastosowawszy się do życzenia korespondenta, ogłaszać będzie sprawozdania roczne, ile kościołów przybyło, a ile ochroniono od upadku, bo w takim razie nikt już nie powie „że trudno obliczyć".

Słusznie też powiada Przegląd Katolicki, że przyjaźń korespondenta występującego w roli „przyjaciela ludu" nie wytrzymuje krytyki. Największym skarbem jest wiara, czyliż przyjaciel osłabiać ją powinien?

Bodajto przyjaciel! Sprawdza się paradoks, że od nieprzyjaciół łatwiej się uchronić!

*** **Konkurencya.** Przemysł krajowy coraz szerzej, zwłaszcza po wsiach, rozwijać się zaczyna. W Hrubieszowskiem, okolicy jak wiadomo bardzo zacofanej pod tym względem, w roku zeszłym powstało kilka gorzelni i browarów. Na szczególną jednak uwagę zasługuje fabryka kafli założona o wiorstę za miastem, przez powiatowego inżyniera, o ile wiemy, pierwsza, wyrabiająca kafle na sposób berlińskich. Doskonała więc zdarza się sposobność do wyrugowania wyrobów niemieckich, w znacznej części sprowadzanych do Warszawy oraz innych miast.

Kafle krajowe odznaczają się dobrocią i trwałością, a co nie mniej ważne, że są dużo tańsze od zagranicznych. W fabryce pracują sami krajowcy, i wyrabiają piece różnych cen i gustu, od bardzo skromnych i tanich do najwykwintniejszych.

*** **Arcydzieło u nas.** Jeszcze przed końcem karnawału na wystawie sztuk pięknych spotkamy wielką nowość. Komitet sprowadza z Paryża słynny obraz Munkaczy'ego „Chrystus przed Piłatem". Właściciele żądają za prawo wystawienia tego płótna w Warszawie 60 proc. dochodu, jaki sprzedaż biletu przyniesie „Towarzystwu". Pomimo tak uciążliwych warunków, komitet przyjął propozycyą, i oto znawcy i nieznawcy będą mieli sposobność zobaczyć arcydzieło, głośne w całym świecie.

Dbałość komitetu zasługuje na serdeczne uznanie, publiczność zaś o ile możności, powinna się odwzajemnić, co w tym razie sprawi jej przyjemność prawdziwą.

*** **Nasza czy nie nasza?** Pani Sembrich Kochańska dwukrotnie w tym miesiącu występowała w Wilnie. Koncert był świetny, bilety, chociaż bardzo drogie, w jednym dniu rozchwytano, i co za tem idzie, rezultat dla kieszeni artystki odpowiedział jej wymaganiom.

Wyborowa publiczność, na którą złożyła się nietylko najbliższa okolica, lecz nawet bardziej oddalona miejscowość, oklaskiwała każdy numer; sala była przepełniona po brzegi. Wszyscy zaś, którzy pomimo starań, na żaden z koncertów biletu otrzymać nie mogli, pocieszali się jeszcze, że *diva* da się słyszeć po raz trzeci, co też istotnie mogłoby nastąpić, gdyby nie telegram z Petersburga, zapraszający artystkę do udziału w koncercie na cel dobroczynny. Pani Sembrich opuściła Wilno, i pośpieszyła do stolicy.

Kto wie nawet, może nareszcie po długiej nieobecności, zdecydowałaby się wystąpić i u nas, gdyby ma-

leńkie *ale* nie stało tutaj na przeszkodzie. Artystka żąda 1,000 rs. za wieczór, dyrekcya zaś ofiaruje tylko połowę, i co prawda w dzisiejszych czasach i to już jest dużo.

Nam się zdawało jednak, że chociaż biedni, jako swoi, jako rodacy moglibyśmy sławną śpiewaczkę usłyszeć, okazało się przecież, że pani Sembrich woli pieniądze niż uznanie ziomków.

Nasza więc, czy nie nasza?

*** **Czytelnia Towarzystwa ogrodniczego** bardzo pomyślnie się rozwija. Oprócz książek, których jest już sporo, główniejszych pism ogrodniczych i przyrodniczych krajowych, znajduje się 22, w tej liczbie polskich 2, angielskich 3, francuzkich 7, niemieckich 9 i 1 rossyjskie.

Zaznaczamy także przy sposobności, że pierwsza narada uczestników, zapisanych do projektowanej spółki skupu i sprzedaży owoców, głównie prowincyonalnych, odbędzie się w dniu 1 marca wieczorem, w lokalu Towarzystwa Ogrodniczego, Chmielna N. 14.

W naradzie tej, mającej na celu ostateczne zorganizowanie spółki, przyjmie udział i Komisya stała „Towarzystwa Ogrodniczego Warszawskiego".

Póki czas jeszcze, zachęcamy Czytelniczki, które posiadają ogrody, lub też pragną zużytkować niewielkie fundusze, bez narażenia ich, jak to często w innem przedsiębierstwie się zdarza, do zapisywania się pomiędzy uczestników spółki.

*** **Strzeżmy się!** Wyrafinowane kaprysy dawnych piękności zupełnie wyszły z mody, i nikt już dzisiaj nie chciałby im się poddać. Zdaje się, że wiedzą o tem nawet „wróble na dachu", a jednak nie wiedziała pewna młoda panienka, zaręczona z równie dorodnym młodzieńcem.

Zakochana para, hołdując sportowi łyżwiarskiemu, udała się na ślizgawkę, której panna była szaloną zwolenniczką, jako jedna z najzręczniejszych egzekutorek „sztuki". Nacieszywszy się tryumfami, spowszedniałemi już trochę, piękna łyżwiarka prosiła narzeczonego, aby spróbował się ślizgać.

— Ależ ja nie umiem, tłomaczył się biedaczysko.

— To nic trudnego, a zresztą ja chcę koniecznie, odparła energiczna dziewczyna.

Narzeczony wynajął łyżwy, lecz za pierwszem po sunięciem upadł.

Panna zaczęła się śmiać z niezgrabności swego przyszłego męża, nie przestając nalegać żeby próbę powtórzył.

Zniecierpliwiony, odpiął łyżwy, ukłonił się grzecznie i odszedł, a w parę godzin później odesłał pierścionek.

Wyrzekł się kapryśnicy, która pewno żałuje teraz swej lekkomyślności.

WIADOMOŚCI Z ZAGRANICY.

*** **Na dobroczynność.** W wielkiej operze paryzkiej, odbyło się przedstawienie na rzecz ubogich miasta. Wszystko czego może dokonać sztuka i praca, zebrało się tutaj, aby widowisko uczynić zajmującem i powiększyć dochód. Architekci, uczeni, literaci podali sobie ręce i rezultat przeszedł wszelkie nadzieje.

Spektakl obejmował historyą teatru od Eschylesa, aż do XVII wieku, przedstawiano tragedyę grecką komedyę rzymską, misterye, farsę Pathelina, Corneillea i Molierea.

Podczas pierwszego aktu „Agamemnona", który otworzył widowisko, aktorzy przywdzieli maski i koturny, zamiast orkiestry chóry uzupełniały całość, scena zmieniła się na teatr grecki, słowem złudzenie kompletne. Drewniane maski i peruki budziły ogólne zaciekawienie w widzach, przyzwyczajonych do świetnej wystawy, współczesnych dzieł sztuki.

W Cydzie, z całą ścisłością powtórzone były kostiumy z pierwszego przedstawienia tego arcydzieła, a na zakończenie przedstawiono balet z muzyką Lajartea.

Program, zarówno jak wykonanie całości, przynosi zaszczyt komitetowi urządzającemu, a biedni zyskali 100 tysięcy franków. Arystokracya nie stawiła się do apelu, albowiem inicyatorami zabawy byli republikanie.

*** **Praktyczność.** W systemie podarunków ślubnych, zaprowadzono w Anglii nową modę, która nieraz może być dla cudzoziemców wielkiem dobrodziejstwem.

Opisy zaślubin drugiej córki prezesa ministrów, panny Maryi Gladstone, zawierają i listę podarunków ślubnych, między któremi figuruje kilka czeków na pieniądze. Jeżeli moda podobna zastosowaną została do panny młodej z tak bogatego domu, spodziewać się należy, iż znajdzie szybkie rozpowszechnienie w uboższych.

Byłoby to bardzo dobrze i praktycznie.

*** **Rocznica.** Z powodu 74 letniej rocznicy urodzin Dickensa, odbyła się w Londynie nader oryginalna i zajmująca uroczystość, której uczestniczyły tłumy osób.

W wielkiej loży wolno-mularskiej urządzono zabawę, najpierwsze gwiazdy teatralnego świata wypowiadały kolejno różne urywki z dzieł znakomitego autora. Najbardziej zajmującą częścią wieczoru, był bal kostiumowy, którego uczestnicy przybyli wyłącznie ucharakteryzowani na wzór postaci powieściowych Dickensa.

Komicznych figur znalazło się mnóstwo, największą jednak wesołość wywołała, znana z procesów artystka, Welden, przedstawiająca sierżanta Burfuza, z nieodstępną swoją towarzyszką, panną Menier, przebraną za p. Bardell.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

Дозволено Цензурою. Варшава, 4 Февраля 1886 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (nowy 26).

Opis do N-ru 8.

(Dokończenie.)

N. 16 i 41. Ubranie balowe. Patrz ryc. 32 w N. 7.

Spódnica podszewkowa uszyta z satynki pokryta jest całkowicie koronkowemi falbanami po 27



N. 1. Chusteczka „Marie Antoinette." Patrz ryc. 19 i 29 w N. 7.

cent. szerokiemi i draperyą z tiulu koronkowego. Wymiar tej ostatniej daliśmy na ryc. 32 w N. 7, litera *a* oznacza połowę przodu (na szerokość), litera *b* połowę (na długość) tylnego bryta. Przód draperyi ma brzeg górny i brzegi boczne zmarszczone razem do 30 cent. i wszyte w pasek; górny i dolny brzeg tylnego bryta są także zmarszczone i wszyte w pasek, przez co bryt składa się na połowę, a brzeg wewnętrzny zmarszczony do 70 cent. przyszywa się brzegiem rozporka sukni. Stanik z żółtawo białego atłasu ma z przodu wykrój głęboki kwadratowy, z tyłu zaś zachodzi okrągławo dość wysoko; przybranie dane z tyłu nakształt berty, z przodu spuszczone w formie bretelek i dopełnione plastronem marszczonym, zapiętym z boku. Rękawy mogą być półdługie lub tylko z koronki 6 cent. szerokiej.

N. 17. Ubranie balowe z bawetowym stanikiem. Patrz r. 12 w N. 7.

Spódnica jedwabna ogarnirowana trzema plisowanemi falbankami i riuszą, pokryta jest zwierzchu tunikową draperyą z gazy lub krepy, podług ryc. 17 w dzisiejszym i r. 12 w N. 7, podpinaną bukietami i wstążkami koloru sukni lub zupełnie odmiennego. Stanik bawetowy atłasowy, sznurowany z tyłu, ma sutą bertę, przepiętą na ramionach kokardą i kwiatami.

N. 18. Poduszka z kwiatami krepowemi i haftem sznelowym. Patrz ryc. 22—24 w N. 7.

Haft w guście rococo składa się z wypukłych krepowych kwiatów i liści sznelowych, które dają się zastosować jako przyozdobienie szarf lub całych sukien balowych. R. 18 przedstawia poduszkę do kanapy, 23 cent.



N. 3. Uczesanie z ozdobnemi szpilkami. Patrz ryc. 8 i 9.

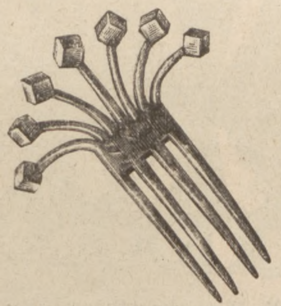
N. 4. Ubranko à la Marie Stuart. Patrz ryc. 37 i r. 18 w N. 7.



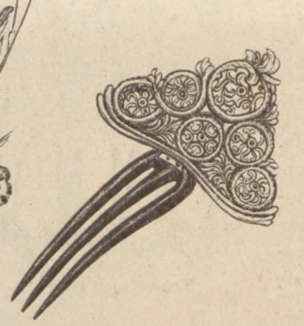
N. 2. Suknia ze stanikiem zdobnym kwiatami.



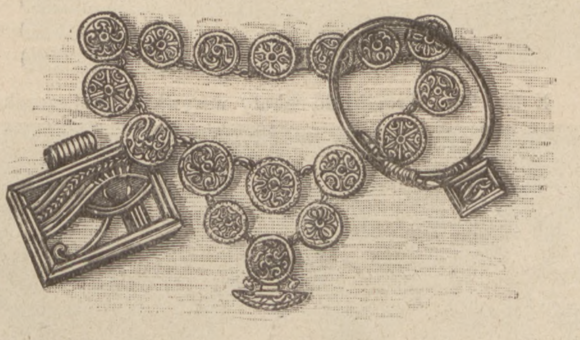
N. 5. Wianeczek i bukiet z kokardą.



N. 8. Szpilka ozdobna szyldkretowa do głowy. Patrz ryc. 3.



N. 9. Ozdobny grzebień do głowy.



N. 10. Brelok. N. 12. Naszyjnik z kółek od zegarka. N. 11. Bransoletka z brelokiem.



N. 6. Stanik balowy z bertą z trójkątnych chusteczek koronkowych.



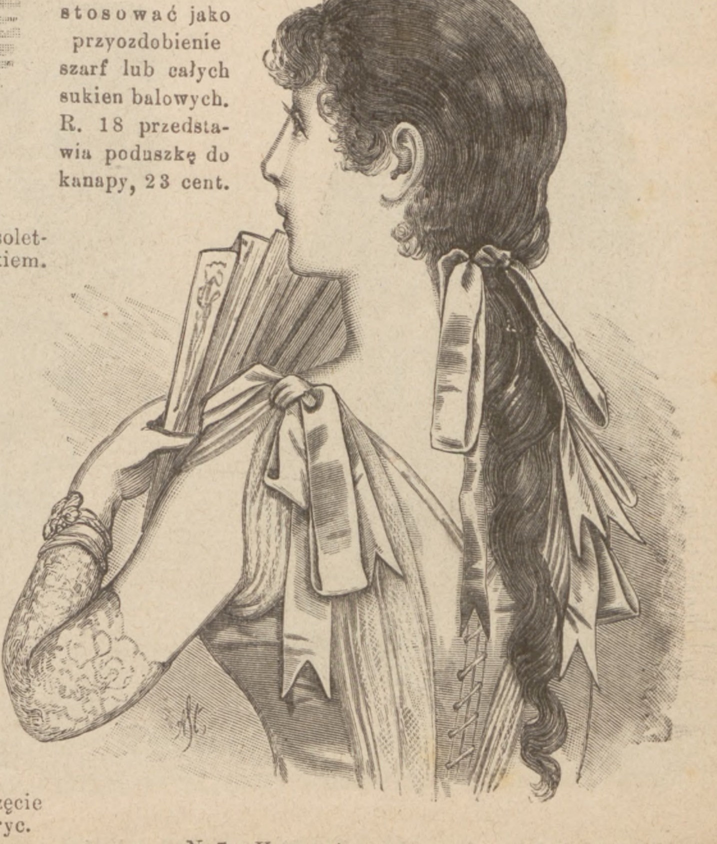
N. 14. Listek do ryc. 13.



N. 13 Krzyżyk robotą filigranową. Patrz ryc. 14—15.



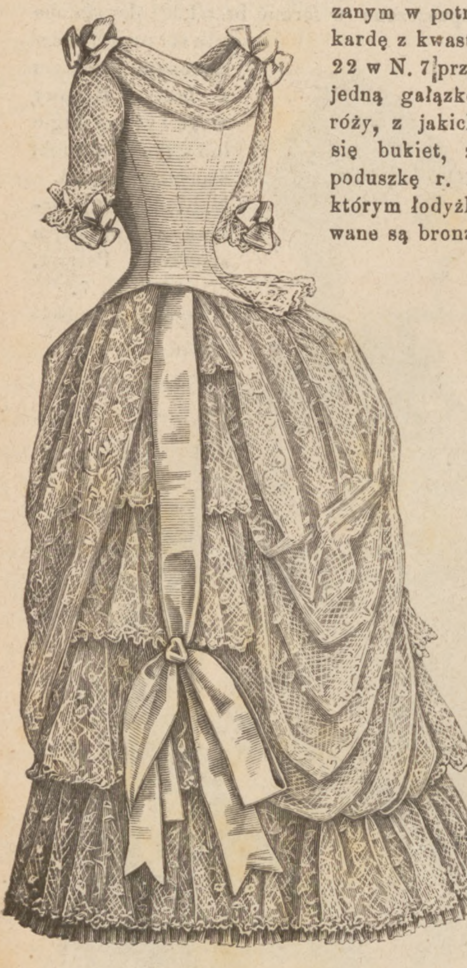
N. 15. Zaczęcie listka do ryc. 13—14.



N. 7. Uczesanie ze spuszczonemi włosami.

szeroką a 48 cent. długą, uszytą z żółtawo białej materyi surah, wypchaną watą i oszytą grubym jedwabnym sznurem, kręconym z promieni białego, różowego i zielonego, na jednym rogu związanym w potrójną kokardę z kwastami. R. 22 w N. 7 przedstawia jedną gałązkę polnej róży, z jakich składa się bukiet, zdobiący poduszkę r. 18, przy którym łodyżki haftowane są bronzową cieniowaną sznelą. w części ściegiem płaskim, w części długim luźnym ściegiem; listki haftowane płasko sznelą majowo zielonego, ciemno zielonego i żółtawo bronzowego koloru; w tych ostatnich dodane są jasne cienie jedwabiem czerwonawym; takiż jedwab użyty na ciernie. Na rozkwitłe i pół rozwinięte róże materyał stanowi krepa biała, blado żółta i różowa, którą kraje się w paski po 6—8 cent. długie, 5 cent. szerokie, złożone we dwoje (na szerokość) i z brzegów przeciętych ściśle zmarszczone, jak to wskazuje ryc. 23 w N. 7; po zmarszczeniu górny brzeg listków wywija się trochę do wierzchu. Na każdą różę trzeba 5 listków; dla cieniowania listków wsuwa się przed zmarszczeniem między złożoną krepę kawałek ciemniejszy, przebijający przez lekki materyał; środki w różyczkach stanowią maleńkie pukielki z bronzowej szneli, na listkach zaś naszyte są luźne ściegi jedwabiem jasnym i ciemno żółtym, zakończane bronzowym supełkiem. Na pączki potrzeba kw a dratowych 2—4 c. szerokich kawałków ponsowej krepy, przykrytych białą, ktore składają się w trójkąt, przymarszczają i zwijają podług ryc. 24. Tak przygotowany środek pączka obszywa się zwierzchu różnej długości ściegami ze szneli zielonej, z której dodaje się u dołu kielich. Motylki fruwające nad kwiatami haftują się cieniowanemi jedwabiami ściegiem płaskim.

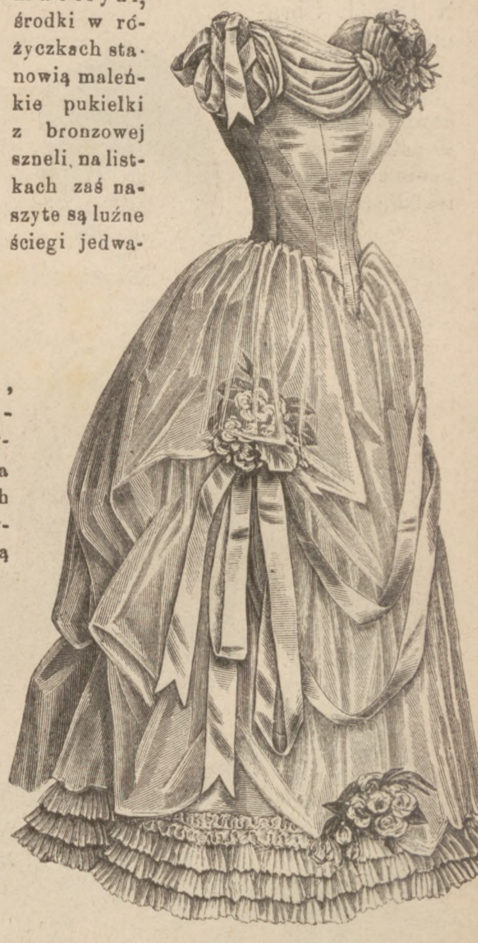
N. 19—20. Kosz zdobny lambrekinami i pomponami. Pleciony z bronzowo lakierowanej trzciny, ma nóżki i okucie górnego brzegu dane z cuivre poli. Odpowiednio do czego ma służyć, wyłożony jest wewnątrz materyą wełnianą, jedwabną, lub też ceratą, jeżeli w niego składać się mają noże. Ryc. 20 przedstawia w naturalnej wielkości jedną z lambrekin, haftowaną włóczką hamburgską na tle



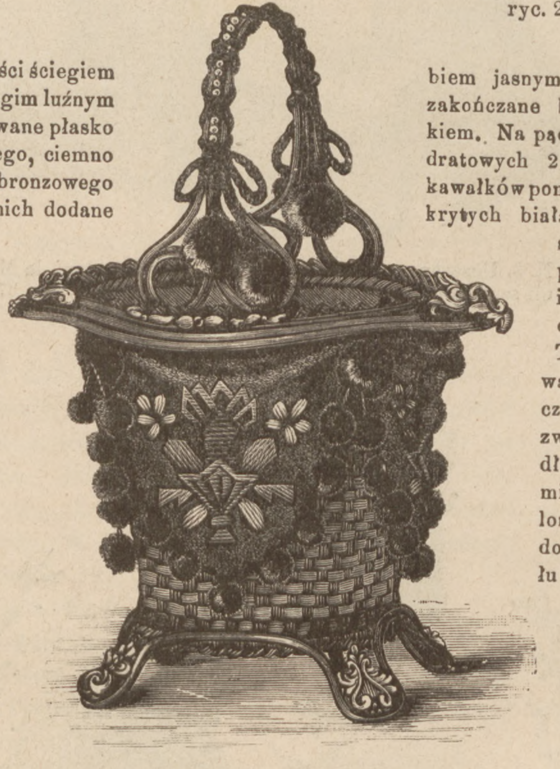
N. 16. Ubranie balowe z półwyciętym stanikiem. Patrz ryc. 41 i ryc. 32 w N. 7.



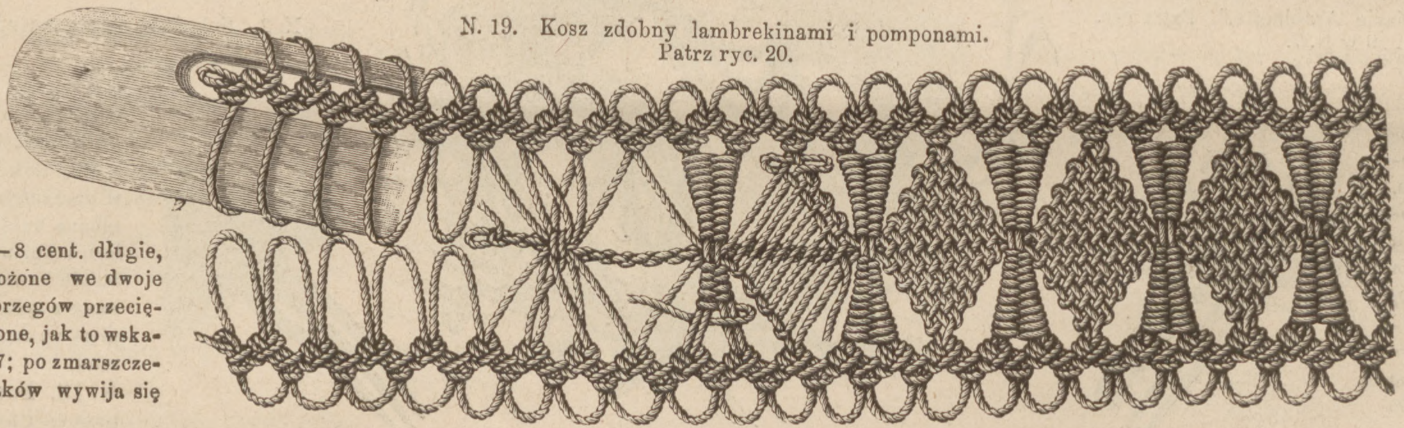
N. 18. Poduszka zdobna kwiatami krepowemi i haftem sznelowym. Patrz ryc. 22—24 w N. 7.



N. 17. Ubranie balowe. Patrz r. 12 w N. 7.



N. 19. Kosz zdobny lambrekinami i pomponami. Patrz ryc. 20.



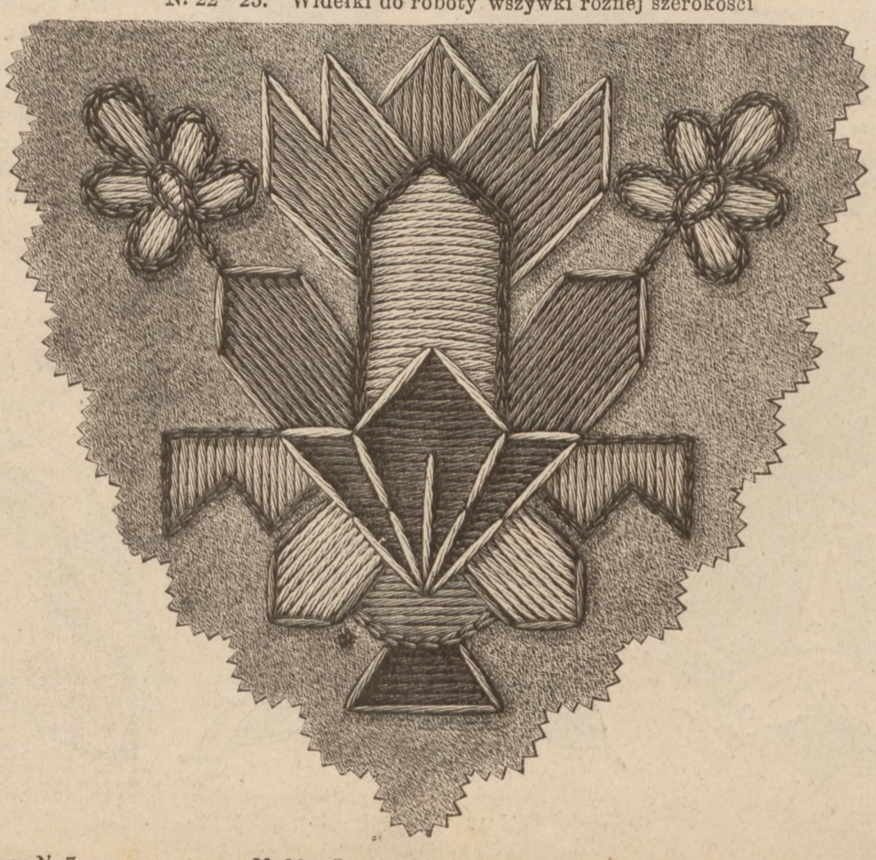
N. 21. Wszywka z torsadki robionej na widełkach.



N. 22 23. Widełki do roboty wszywki różnej szerokości



N. 24. Suknia przybrana koronką. Patrz ryc. 13 w N. 7.



N. 20. Lambrekina do ryc. 19.



N. 25. Suknia z długą tuniką. Patrz ryc. 14 i 30 w N. 7.

z ponsowej flaneli; kontury deseniu odznaczają się odmiennym kolorem niż środki. Sznur i pompony dopełniają przyozdobienia.

N. 21—23. Wszywka z torsadki na widełkach.

Do roboty torsadki, z jakiej składa się wszywka, potrzebne są widełki o jednym płaskim zębie 1 cent. szerokim i o drugim okrągłym $1/3$ cent. średnicy. Ryc. 21 wskazuje z ca-



N. 26. Kamizelka męzka z materyałn tkanego na ręcznym warstaciku. Patrz ryc. 27 i ryc. 9 -10 w N. 7.

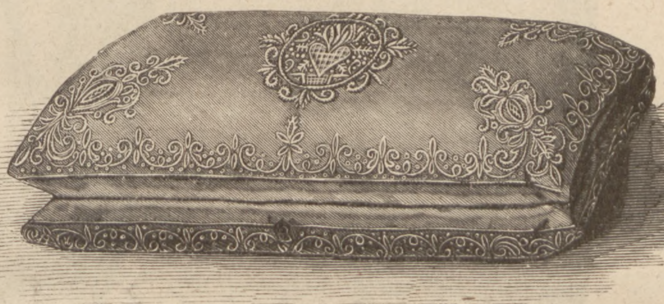
łą dokładnością robotę wszywki, na którą spaja się dwa rzędy torsadki, łącząc z sobą po 3 pentelki od lewej strony i przeprowadzając nitkę od jednej grupy do drugiej łańcuszkiem z oczek pow. Cztery środkowe nitki grupy są ściśle obwodzone nitką, zaś brzeżne nitki dwóch grup stanowią ramkę do kwadratu cerowanego w kratkę Krótkie ząbki stanowiące brzegi wszywki można obrobić szydełkiem. R. 23 przedstawia wzór widełek o 4 zębach, na których można robić torsadkę różnej szerokości.

N. 28. Żabot z koronki i wstążki. Patrz ryc. 8 w N. 7.

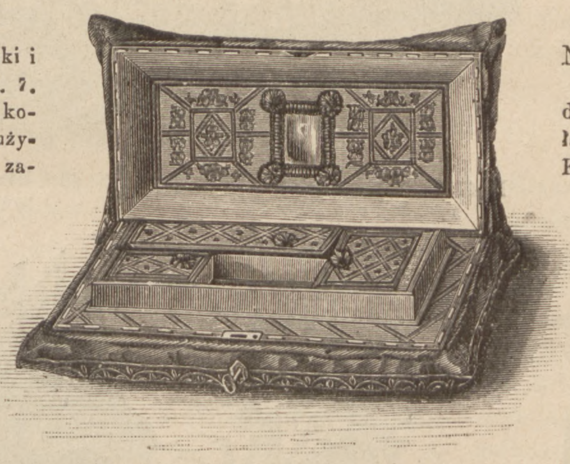
Wstążka jakiegokolwiek koloru, 8—9 cent. szeroka, użyta na pukiel i dwa końce, zakończone frendzlą robotą wiązaną, której wzór daliśmy na ryc. 8 w N. 7. Na fałdowanie z koronki 8 c. szerokiej potrzeba 150 c.; najdłuższy koniec dany z tiulu koronkowego, oszytego z brzegów koronką.



N. 29. Medalion haftowany złotem. Deseń starożytny do ryc. 30.



N. 30. Kasetka zdobna haftem złotym zamknięta. Patrz ryc. 31—32.



N. 31. Kasetka otwarta. Patrz ryc. 30.

N. 29-32. Kasetka na biżuterye lub przybory do szycia. Haft złotem.

Kasetka przedstawiona na ryc. 30 i 31 otwarta i zamknięta, naśladowana była z bardzo starożytnego wzoru, jak o tem świadczą ozdoby wewnątrz i haft zewnętrzny. Medalion środkowy przedstawiony w naturalnej wielkości na r. 29, odrobiony jest sznureczkiem złotym, nitką złotą, bajorkiem i blaszkami. Zamiast serca haftowanego ponsowym jedwabiem z płomieniami i symbolem, można dać monogram. R. 32 daje czwartą część desneiu na szlak tworzący ramę, wyszyty sznureczkiem i bajorkiem.



N. 28. Żabot z koronki i wstążki oszytej frendzlą.

N. 34. Kokarda do głowy.

Składa się z 4 różnorodnych gatunków wstążek: atłasowej, morowej, aksamitnej i velours frisé, po 6 cent. szerokiej, koloru białego, blado różowego, kamiennego i czerwonawo bronzowego. Motylek z różowych piórek naklejanych konchą i kitka z piórek złoconych upięte w środku.

N. 35. Ubranko z kwiatami. Krój patrz ryc. 18 w N. 7.

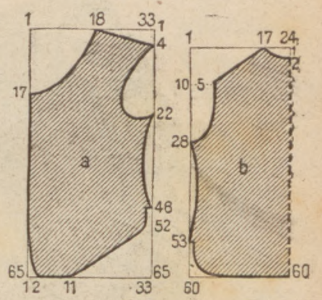
Podstawę czepeczka kraje się ze sztywnego tiulu podług miar wypisanych na ryc. 18 w N. 7, obszywa drutem i obejmuje wstążeczką; do niej przyszywa się podług ryc. 35 koronkę 9 cent. szeroką, suto namarszczoną, której potrzeba 150 cent. Środek ubranka z tyłu zajmuje kokarda z wstążki 3 cent. szerokiej; z przodu dodane dyademowe upięcie z fiołków.

N. 36. Ubranie z piór i wstążki do przypięcia na ramieniu.

Składa się z delikatnego puchu i pióreczek, między któremi unoszą się motyle z konchy perłowej, a zakończenie stanowi suta kokarda z atłasowej wstążki $2\frac{1}{2}$ cent. szerokiej. Garnitur stanowi także ubranie do głowy.

N. 39—40. Rozety z wstążki do ubrania głowy.

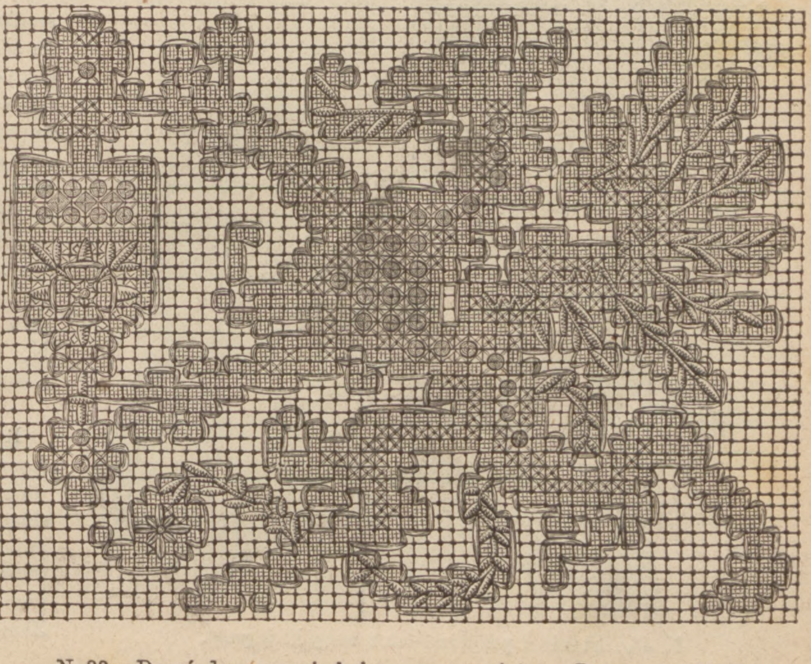
Potrzeba na każdą 24 kawałków po 6—7 cent. długich, wstążki $3\frac{1}{2}$ cent. szerokiej, na modelu była koloru łososiowego atłasowa z repsowym spodem. Każdy kawałek wycina się w ząb z jednego brzegu i łączy jeden z drugim w rozetę, przytwierdzoną do szpilki podwójnej i obszytą kawałkiem wstążki u dołu.



N. 27. Wymiar kroju kamizelki ryc. 26.



N. 32. Szlak z narożnikiem do ryc. 30. Haft złotem.



N. 33. Deseń do wyszycia kolorowego na siatce. Do ryc. 4 w N. 7.

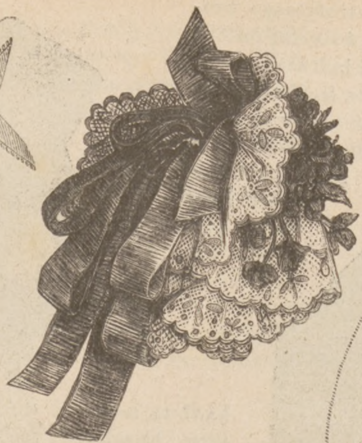
fa wokoło baskiny dodana z gładkiego tiulu. Ponsowa kokarda na ramieniu.

N. 43. Suknia z kamizelką z wstążki w pasy.

105 cent. długi kawałek wstążki w pasy kolorowe $6^1/_2$ cent. szerokiej, z brzegiem pluszowym 2 cent. szerokim, składa się na



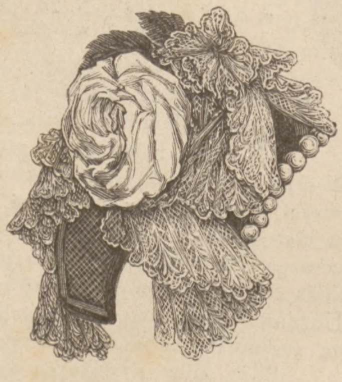
N. 34. Kokarda z różnorodnej wstążki do głowy.



N. 35. Ubranko z kwiatami. Patrz ryc. 18 w N. 7.



N. 36. Ubranie z piór i wstążki do przypięcia na ramieniu.



N. 37. Ubranko a la Marie Stuart. Patrz ryc. 4.



N. 41. Ubranie balowe. Patrz ryc. 16 i ryc. 32 w N. 7.

N. 42. Ubranie balowe z bawełowym stanikiem.



N. 38. Czepeczek dla osoby starszej. Patrz ryc. 34 w N. 7.

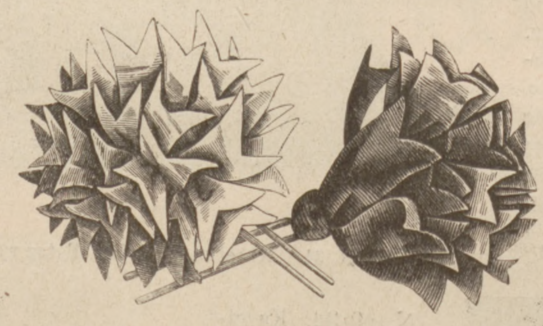
N. 42. Ubranie balowe z bawełowym stanikiem.

Efektownie odbija tiul écru na spodniej sukni ciemno ponsowej, ogarnirowanej u dołu bufą. Tunikowa draperya dana z tiulu w gwiazdy sznelowe ponsowe, ma brzeg dolny również sznelą haftowany, takiż szlak powtarza się przy wykroju stanika i u dołu; bu-

saskiej, 17 c. szerokiej, ułożone w potrójną kontrafałdę, wymaga górne 60 c., dolne 84 c. Kokarda z trzech pukli po 8 c. długich i końca 11 c. długiego, ułożona z wstążki ponsowej atłasowej, 6 c. szerokiej, dana jest na rękawach, które uszyć można podług ryc. 7 w N. 7.



N. 43. Stanik z przybraniem z wstążki w pasy.



N. 39—40. Rozety z wstążki do przybrania głowy.

środku w ząb szpiczasty, który po zeszyciu stanowi środek chusteczki z tyłu. Brzegi zewnętrzne wstążki podłożone są skośnie ku dołowi do $2^1/_2$ cent. szerokości, a na baskinie stanika przewiązane długą kokardą z wstążki ponsowej atłasowej, 3 cent. szerokiej, z której ułożony środek kamizelki; pod szyją kokarda z wstążki w pasy. U rękawów mankiety odpowiednie.

N. 44. Suknia z chusteczką z aksamitu i koronki. Patrz r. 7 i 20 w N. 7.

Ryc. 20 w N. 7 daje wymiar fasonu chusteczki, który wykrawa się ze sztywnego tiulu i dopasowywa podług figury; pokrycie zwierzchnie dane z aksamitu lub pluszu ponsowego, wykrój szyi podszyty potrójną pliską krepową. Żabotowe fałdowanie z koronki



N. 44. Suknia z chusteczką z aksamitu i koronki. Patrz ryc. 20 w N. 7.